ORLĘTA

„LILLA WENEDA"

...kochajcie mnie, bracia,
Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno...



A. Andriolli mal. „Lilla Weneda"

№ 7 Ilustrowany dwutygodnik dla młodzieży Rok I.

Cena egz. 1 zł.

TO i OWO

„Żadna dusza samotna do nieba nie weszła i nie wchodzi, ale wszystkie podobne sobie razem się zebrać muszą, pomagając jedna drugiej, dopóki najmniejsza z nich potrzebuje pomocy".

Juljusz Słowacki

W PARU WIERSZACH.

Opuszczacie już mury szkolne, a wielu z pośród was uleci z zapylonych i dusznych miast hen w dal... do domów rodzinnych do wiosek zielenią spowitych, do lasów rozśpiewanych i gór niebosiężnych stojących dumnie na straży ojczystych zagonów.

Ale wielu i to gromada liczniejsza pozostanie nadal w zadymionych ulicach, w huku i wrzasku spieszącego się ciągle miasta — dla tych, ze ściśniętem sercem, z pełnią serdecznego współczucia spieszą dziś „Orlęta".

W czasie wakacji nie będą przychodziły „Orlęta", nie będą was widziały, gdy wracać będziecie roześmiani i pełni słońca z wewnętrznej radości, z niemilknących zabaw, ze słonecznych wycieczek.

Możeby was i nie znalazły rozrzuconych po zapadłych a najpiękniejszych zakątkach kraju, jak zadumani nad szemrzącymi potokami, pluskiem jezior lub szumem polskiego morza, będziecie przeżywali chwile wzniosłe i pełne majestatu.

Bądźcie wtedy „Orlętami" w tych poważnych zamyśleniach, sposobiącemi się do dalekich lotów.

Wybiegajcie na śliczne wschody i zachody słońca i wchłaniajcie w duszę te obrazy wielkiego piękna.

Wsłuchajcie się w mowę lasów, w szepty traw i dojrzewających zbórz, w muzykę koników polnych i świergoty ptaszęce.

Patrzcie uważnie na wszystko co was otaczać będzie, a spostrzeżenia wkładajcie głęboko w duszę, jako skarby najświętsze.

A gdy już upoicie duszę i piersi świeżością zieleni i czystem powietrzem — rozglądnijcie się po własnej duszy — zaprzysięgając sobie poznanie sie ie, które jest głównym sposobem do nowych czynów, do przezwyciężenia wad rozrośniętych w waszych sercach.

Widziałem raz chłopca w zapadłej osadzie, okolonej topieliskiem i borami, w których wycie wilków było codziennym odgłosem — jak sposobił się do wielkiego życia.

Na papierkach szarych, takich, jakie są używane do opakowań — wypisywał codziennie nad posłaniem wszystkie wady swojego charakteru.

Jeszcze dziś pomimo oddalenia tej chwili, błyszczy mi ciągle jak gwiazda najpiękniejsza, pamiętam niezdarne wyrazy, tego sposobiącego się rycerza, na pustkowiu, do nieznanego mu życia.

Załączam te słowa, może będą pomocne chętnemu w jego trudnej budowie wewnętrznej siły.

„Co dziś złego zrobiłem, tem się brzydzę z całej duszy!

1) Odłożyłem zadanie na jutro bo niemożliwem wydawało mi się, abym go mógł dzisiaj rozwiązać.

2) Byłem niepunktualny w trzech rzeczach.

3) Wyśmiewałem się z Antka, gdy nie mógł przeskoczyć przykopy.

4) Zazdrościłem Józkowi paska na książki.

5) Nie kąpałem się, bo była zimna woda — więc mi się niechciało".

Tak to ten mały człowiek dźwigał swą duszę z szarych codziennych błędów, których setki popełniamy, na słoneczną drogę wielkiego Jutra.

Abyście nie zapominali i o „Orlętach" w czasie tych pięknych dni letnich i czasem przypomnieli sobie pisemko — rozpisujemy następujące konkursy:

1) Jak upiększyć i urozmaicić „Orlęta".

2) Konkurs na pomysł najpiękniejszej okładki

3) Konkurs fotograficzny: zabytków, krajobrazów, starych drzew, kwiatów, typów ludowych i t. p. osobliwości, których pełno jest wokół nas, a obok których przechodzi wielu nie spostrzegając ich zupełnie.

4) Opisanie najciekawszego zdarzenia z wakacji.

5) Jak należy ułożyć program na niedzielę ale sami musicie go wypróbować).

6) Jakie nowe działy należy wprowadzić do „Orląt", a satre usunąć, aby pismo stało się bardziej ciekawe i żywe.

Te i podobne zagadnienia, które wam tylko nawiną się w głowie — przelejcie na papier aby mógł z nich skorzystać szeroki ogół młodych czytelników.

Pamiętajcie iż żadna myśl Wasza zrodzona w sercu w trosce o dobrą sprawę pisma — błachą nie jest i nie pozostanie zapomnianą nigdy.

Bądźcież nam zdrowi i weseli, a starajcie się wszędzie o siłę, spokój wewnętrzny i dobroć serca!

OD ADMINISTRACJI.

Cena numeru obecnego dla szkół 50. gr.

Obecny numer 7, poświęcony J. Słowackiemu, jest ostatnim przed wakacjami; następny № 8 ukaże się około 1. września.

Więc przez lipiec i sierpień ani „Orlęta", ani „Orlątka" nie wychodzą.

Zwracamy się z serdeczną prośbą do tych przyjaciół „Orląt", którzy jeszcze prenumeraty nie wpłacili, albo też nie uregulowali opłaty za prenumeraty, aby zechcieli to uczynić w pierwszej połowie lipca — gdyż to nam bardzo pracę utrudnia.

Prosimy również o wcześniejsze nadesłanie zamówień dla szkół, które nas zorjentują, ile mamy drukować „Orląt" i „Orlątek" na rok przyszły.

Na blankietach P. K. O. prosimy wyraźnie napisać, czy pieniądze przeznaczone są na „Orlęta" z „Orlątkami" czy też na same „Orlęta" lub same „Orlątka", należy też wyraźnie podać adres, pod którym mamy wysyłać pismo.

Kto chce mieć cały komplet „Orląt" i „Orlątek" do № 7 włącznie, a jeszcze nie posiada któregoś numeru, niech wcześniej to uczyni, gdyż jest bardzo mała ilość pierwszych numerów.

Dwutygodnik ilustrowany

ORLĘTA

dla młodzieży polskiej

NUMER 7. ▣ KATOWICE, DN. 20-GO CZERWCA 1927 R. ▣ ROK I.

„Wysłoneczniaj wszystko co ciebie otacza".

Juljusz Słowacki



JULJUSZ SŁOWACKI

JULJUSZ SŁOWACKI.

„Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie, a kiedy przyszlą tutaj wygrzebywać popioły, leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi".

Listy do matki.

Genewa, dnia 5 lutego 1835 r.

Tak marzył niegdyś poeta-tułacz, oderwany od ziemi rodzinnej, jakby w przeczuciu, że zapomnienie za życia zmieni się w niebywałe uznanie po śmierci, że cichy i smutny wyjazd z Ojczyzny stanie się triumfalnym powrotem, że ziemia francuska, która go tak długo gościła, odda jego prochy matce-ojczyźnie.

Te marzenia, aby wrócić do Ojczyzny i „spać kiedyś cicho na cmentarzu krzemienieckim pod cieniem tej czereszeńki, która ocieni grób babuni" — dopiero po stu latach blisko mają się ziścić, ale na prochy Jego nie rzuci cienia czereszeńska „babuni", lecz spoczną one w prastarej Jagiellonów stolicy, w jej sercu, obok wielkich i umiłowanych w narodzie.

Niegdyś ręce babki niosły drobną dziecinę w progi kościoła krzemienieckiego, dziś cały wolny naród, w poczuciu wielkiej godności i mocy, weźmie na barki zwłoki poety-tułacza, poniesie je w triumfie i rozradowaniu, i złoży obok prochów drugiego wieszcza narodu. Obaj bowiem na strunach serc własnych wyśpiewali swemu narodowi nieśmiertelność.

U jego trumny stanie cały naród zwartym szeregiem, i jeden uderzy w niebo hymn radości a wszystkie usta wymówią ze czcią imię umiłowanego, wielkiego syna Polski.

I drgnie matczyna pierś Polski i przytuli do swego łona to dziecię tułacze, któremu nad piękności i radości obczyzny milsze były Jej smutki i niedole.

Zanim jednak ujrzymy Go, w tej pośmiertelnej chwale, wracającego w progi ojczyste, zanim rozradują się oczy nasze tym widokiem: opowiemy wprzód najmłodszej braci, jakim był synem, aby z niego przykład brali, aby przez życia bieg zachowali czyste i szlachetne serca.

Dlaczego ten wielki poeta, któremu serce gorzało taką płomienną miłością Ojczyzny, który tak potężnemi słowy rozżarzał w Polakach tę miłość i zaklinał, żeby nie tracili nadziei, i wzywał do walki o wolność, który sam tak gorąco wierzył w odrodzenie i zmartwychwstanie Polski, nie miał dotąd piędzi polskiej ziemi, któraby otuliła to dumne a tak gorące za życia serce?

To smutny los Polaka w niewoli, los co wyrzucał z Ojczyzny i rozpraszał po świecie najlepszych, najofiarniejszych, najdzielniejszych synów Polski, którzy chcąc pracować dla niej, chcąc przemawiać do rodaków na obcej ziemi, musieli się kryć ażeby ich niedosięgła ręka wroga.

Gdy w roku 1830 gotowało się powstanie narodu, dwudziestoletni poeta pragnął też chwycić za broń i razem z innymi walczyć o wolność Ojczyzny. Ale ten wielki duch w słabem mieszkał ciele. Po ojcu odziedziczył chorobę płuc, trawiła go gorączka, którą podnosiła jeszcze gorączkowa wyobraźnia. Bronią władać nie miał siły, poniewierka wojenna byłaby odrazu zabiła ciało, ale mógł płomiennem słowem budzić ducha, porywać do czynu, do boju... I szczęście, że nie porwał za broń, szczęście, że nie stanął w szeregu walczących, wśród których byłby padł niezawodnie, a żyjąc wzniósł się na te wyżyny, na jakie zaledwie największe duchy wznieść się mogą, stał się wodzem duchowym narodu i Ojczyznę swą otoczył blaskiem swego geniuszu.

Wyjechawszy na początku roku 1831 z Polski, gdy w niej wrzał bój, czuł się upokorzony, że nawet tego dla niej zrobić nie może, co robi każdy najprostszy człowiek o silnej garści, w której broń trzyma, podczas, gdy on pełen gorącej miłości Ojczyzny, on, co wołał na innych w „Hymnie do Bogarodzicy", siedzi tu bezczynnie, gdy tam bratnia krew się leje.

Ale wkrótce i on mógł spełnić, na co mu fizyczne siły pozwoliły. Dnia jednego gdy mieszkał w Dreznie zjawił się u niego obcy człowiek i wręczył mu dwa bardzo ważne listy, które jak najprędzej należało wręczyć obcym rządom w Paryżu i Londynie. Nie łatwe to było zadanie w owym czasie, gdy kolei jeszcze nie było, ale Słowacki nie zraził się trudnościami takiej podróży, czas naglił, wyjechał

więc natychmiast; jechał dzień i noc zmieniając tylko padające ze zmęczenia konie.

W Paryżu oddał list jeden i nie odpoczywając popędził do Anglji. W Hawrze trzeba było wsiąść na statek, aby przepłynąć cieśninę, oddzielającą Francję od Anglji. Ale mimo pośpiechu nadjechał w chwili, gdy statek już podniósł kotwicę, na następny trzeba było czekać kilkanaście godzin... a ta zwłoka mogła być zgubna dla sprawy. Najął więc osobny statek. Listy oddał, a sam wyczerpany szaloną jazdą padł na łóżko, spał całe dwie doby, a gdy się obudził, uczuł się uspokojony tem, że i on odrobił swą cząstkę powstańczej pracy. Ale spalił za sobą mosty. Wracać do rodzinnej ziemi nie mógł. Autor „Hymnu do Bogarodzicy", goniec wysłany do obcych rządów w sprawie powstania byłby skazany na śmierć lub przynajmniej na długoletnie więzienie w twierdzy. A i płomienne słowo jego umilknąć by musiało. Nie stworzyłby był tych cudownych arcydzieł poezyj, które olśniewając zachwycają rodaków, które wypowiedziane temu lat sto prawie, czarują świeżością i nie tracą nic na mocy.

Oto dlaczego ten wielki poeta musiał życie całe przeżyć na obcej ziemi i tam dokonać żywota.

Ale choć zmuszony był żyć na obczyźnie duchem, sercem, myślą i uczuciem, — jak słonecznik ku słońcu, zwracał się zawsze ku Ojczyźnie.

Żył głównie w Paryżu, a częścią w Szwajcarji, podróżował wiele: to po Szwajcarji, to po Włoszech, był w Egipcie u stóp piramid, zwiedził kolebkę wiary Chrystusowej, szedł śladami stóp Zbawiciela od Nazaretu i Betleemu do grobu Chrystusa u którego spędził całą noc na cichem rozmyślaniu... a zewsząd słał rodakom w przepyszną formę ujęte zdumiewająco piękne arcydzieła poezyj.

Na obcej ziemi żył prawie samotny, otaczała go tylko mała garstka ludzi nierównych mu wprawdzie, ale wyjątkowej miary—a to Kornel Ujejski autor horału „Z dymem pożarów", poeta Cyprjan Norwid i Szczęsny Feliński późniejszy biskup i wielki patrjota.

Dzieckiem jeszcze będąc nie lubił



Widok Krzemieńca.

zgiełku, nie brał udziału w hałaśliwych zabawach koleżeńskich, w „Godzinie Myśli“ mówi o sobie i jednym wczesnej młodości przyjacielu Spitznaglu, że byli „nie zmieszani w tłumie“. Chłopcem niewielkim będąc, lubił rozmyślać samotnie, a wyobraźnia wyjątkowa już wówczas wysuwała mu obrazy, które później przyozdobił w szaty, najcudniejszej poezji. Lubił patrzeć na ruiny starych zamków litewskich i mówił już wtedy, że puste te zamki zaludni, „odbuduje upadłe sale i oświeci je przez okna ogniem piorunowych nocy“.

W smętnem swem życiu miał tylko jednego powiernika, któremu zwierzał się ze wszystkich przeżyć, myśli i uczuć, przed którym otwierał całą swą duszę, przed którym spowiadał się z wszystkich swych błędów i nie krył niczego. Tym pewiernikiem gorąco umiłowanym była mu matka; do niej słał długie, odsłaniające głębie jego duszy listy, a listów tych było bardzo wiele, bo oprócz tych o których się wie, że przepadły w drodze, może przejęte przez obce władze, zebrano spore trzy tomy. One to pozwalają nam zajrzeć w głąb tej wyjątkowej duszy.

Na obcej ziemi mijały mu lata. Poeta tworzył, tęsknił do Ojczyzny, do Matki, marzył o tem, żeby jeszcze choć raz, choć na krótko ujrzeć Krzemieniec, Wilno, wioskę Mickuny, gdzie spędzał dziecięce i chłopięce wakacje, Mickuny, które chował w pamięci jako najcudniejszy zakątek ziemi.

W ostatnich latach życia, dla siebie osobiście, miał tylko jedno pragnienie, pragnął raz jeszcze ujrzeć ubóstwioną Matkę, i wrócić do Polski, i tam ujrzeć to miejsce, gdzie dziecięce i chłopięce spędzał lata.

Nie wrócił jednak, bo choroba płuc zaczęła robić coraz większe spustoszenia w wątłym i tak zawsze organiźmie poety. Zaczęły się częste krwotoki, a on, choć łudził się jeszcze nadzieją zdrowia i życia, spisał testament, zawiadomił o tem wuja Teofila Januszkiewicza, prosząc, by matce o tem nie wspominał.

Dnia 3 kwietnia 1849 r. pojednawszy się z Bogiem, ostatnie chwile życia i ostatnie słowa poświęcił tej, którą jedyną najczulej najwierniej ukochał: „Powiedz mojej matce — mówił do Felińskiego — że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można, ale szczęśliwy jestem, że dziś jakby na pożegnanie, list jej odebrałem i z myślą o niej umieram“. A. L.

Dr. J. S. ZUBRZYCKI
Prof. Politech. we Lwowie.

KOLEBKA JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Wieszcz narodu polskiego, o sercu najczulszem i o pięknie najwznioślejszém nie wyszedł ze szkół Krzemienieckich, a jednak należy on do tego zakątka, gdzie łączą się i zlewają wdzięki Wołynia i Podola, razem stwarzając środowisko pełne siły duchowéj. Mówią, iż Słowacki obrał sobie drogę życia za pomocą „*twardéj służby Bożéj*“. I cóż to spowodowało? Oto wniknięcie głębokie w łono ziemi rodzinnéj i ukochanie najszczersze tego wszystkiego, co odnosi się do Ojczyzny, do Polski. Ta *służba Boża,* zaiście wielka a twarda, jest przykazaniem najdroższém wedle którego nietylko człowiek, ale i naród cały winien pojmować posłannictwo swoje. Ona to każe przypominać nam obowiązki przedewszystkiem dla Ojczyzny, ona poucza, jak miłością narodu własnego można życie podtrzymać i wzmocnić, ona jest szkołą dla tego życia pracowitego i ona wreście może stać się czynnikiem wychowawczym dla pokoleń długich.

Juljusz Słowacki, w Krzemieńcu urodzony 1809 r. od lat najpierwszych uczuł się przywiązanym do piękności ustroni, jakie rozbudzały w nim wcześnie zmysł wysoce podniosły. Pełno tu pierwiastków, które działać musiały na umysł, skłonny do wchłaniania, jak wpływają promienie słońca na kiełkowania rośliny i życia, jak uderzają dźwięki o struny lutni serdecznie wystrojonéj.

Te nawet piaski *sarmackie,* zasiane muszelkami w piaskowcu utkwionemi, te rośliny bujne, co za wiatrem roztęsknionym się kładą, te trawy i *turzyce* po stepach smętnych, kraśniejące czarem kwiatów, te *dąbrowy* i *czarnolasy,* kryjące w sobie tajemnice potęgi przyrodzonéj, te skały i wądoły, nawet ta woda Ikwy cichéj



Krajobraz stepu podolskiego.

a marzącej — to wszystko razem tony tej gędźby wielkiej, która w młodzieńczości Juljusza odgrywała rolę głęboko wychowawczą.

Opodal Poczajowa jest miejscowość „*Turami*“ zwana. Pełno tu podań o wojnach, o mogiłach, a kto wie czy nie na tle jeszcze wiary z czasów Światowida, kiedy czczono „*tura*“ jako woła z gwiazdą promienną na czole. Stąd nazwano skamieniałości jeżowca i ostrygi na pokładach kiedy „*turoniami*“, albowiem przypisywano je sile boskiej turonia. Stąd *turzyce* jako sioła uświęcone dla *tura* jako woła, od którego nazwa kraju: *Wołyń!*.. Czczono wtedy w oczach ludu wyniosłości jakby dłonią Boga dla uroczystości podwyższone. Oto przedewszystkiem *Bożo góra*, połączona ze źródłem wody cudownej, jak po całej Polsce starodawnej. Kiedy Słowacki oglądał te czary i widział lud rozmodlony a wierzący głęboko w siłę Boską krynicy przeczystej, musiał odczuwać to piękno *wiary* naszej najwznioślejszej a żywej. Bożogóra z kaplicą, wyryć musiała wrażenie najpierwsze. A jest i *Ostrogóra* za wsią Złoby, ze szczytem bardzo śmiało się wybijającym, na którym stojąc Juljuszek mały, musiał doznawać wrażenia, iż jest zaprawdę „królem-duchem“ w pośród otoczenia i okolicy. Opodal jeszcze góra „*Stożkiem*“ zwana, pięknie na widnokręgu się zarysowująca jako twór przyrody, obrabiany ręką ludzką i równomiernie ukształtowany, ta góra przywołująca na pamięć postacie naszych królów najpierwszych, tutaj już w zamku „*na stożku*“ siedzących, czyż to nie czynnik wysoce nastrojowy, czyż to nie wątek zapalający wyobraźnię dziecka?... A góra Poczajowska z tą jaskinią, gdzie jest na kamieniu stopa N. Marji Panny, Matki Boskiej. Jakże to również musiało głęboko wpoić się w umysł pacholęcy, skoro i matka i ojciec, piastunka i każdy starzec musieli mu przypominać, iż Polska sławną była niegdyś z tych pamiątek przedrogich, jakie umiały każdą niemal pieczarę i każdy kamień większy połączyć z obrazem „*Stopy Boskiej*“. Słowacki dobrze to rozumiał, iż cześć wobec cudów Boga sięga tu przeszłości aż zamierzchłej znowu w połączeniu ze źródłem cudownem. Polacy musieli utracić własność swoją na rzecz tych, którzy naśladując dalej, tytułem mocniejszego tu zasiedli i w panowanie wszystko objęli.

A góra „*Krzemieniec*“, od której miasto nazwę swoją wzięło, ta niesłusznie przezwana potem górą Bony ze zamkiem w posadach o wiele, wiele dawniejszym, jak wiek XVI, jakże ona działać musiała pomnikowo na wyobraźnię chłopięcia, który stąd poczynał się rozglądać po świecie!...



Krajobraz stepu wołyńskiego.

„I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma
A w nocy jak korona, kryta żalu kirem,
Często szczerby wiekowe przesuwa powoli
Na srebrzystéj księżyca wschodzącego twarzy".

Podania do dziś w uściech ludu żyjącego, o mostach skórzanych a długich, spuszczających z góry zamku pojazdy złociste królów i książąt, o podziemiach zasypanych ilością przeliczyć się nie dającą złota i klejnotów, o bitwach tu wrzących z wrogami chciwymi, o królewnie do której się dobijał królewicz młody — takie baśnie mnogie uchodziły za szkołę najlepiej przystosowaną do pobudzeń młodego Juljusza wchłaniającego skwapliwie wszystkie te czarodziejstwa. Przyznać potrzeba, iż posiadał zapas obrazów, któremi potem obsypywał swają twórczość narodową, ku podziwieniu Polski całej!

Prócz tego i góra *Czercza*, zapewne dawniej Czarcia, jako Czarnogóra, także góra Dziewicza, Wołowa i góra Krzyżowa, tuż ponad Krzemieńcem wyniesione wszystkie one zwabiały wyobraźnię pieśniarza wdziękami piękna przyrodzonego, które tak ukochać musiał, że potem całe życie tylko tęsknił do nich, tem więcej, im bardziej się od nich oddalał.

I Wiśniowiec ze zamkiem ponad dwoma stawami był dla Juljusza skarbnicą przebogatą, zwłaszcza, gdy weźmiemy pod uwagę, jak pięknie był on jeszcze na początku wieku XIX wyposażony w pamiątki żywe, Polskę sławną naocznie mu podsuwające. To była uczelnia za życia i dla życia!...

Dodajmy jeszcze sam Krzemieniec z kościołem przepięknym, o dwóch wieżach na wzgórzu przed górą zamkową stojącym, kościół Franciszkanów, pałace wielkopańskie, dzwonki ślacheckie tak przemiłe a schludne, w cieniu gajów przerozkosznych wszerz i wzdłuż się ciągnące, domy miasteczkowe o gankach bogato wyrabianych i wycinanych, owe ganeczki dwusłupowe i cztérosłupowe, idące po sobie ulicami całemi, owe ganeczki oszklone a ustrojone wycinankami za szybami we wzory przerozmaite, owe szczyty dachowe wysoko się wspinające i owe podcienia malownicze, a zrozumiemy, jak Krzemieniec musiał podniecająco działać na serce i duszę Juljusza.

Krzemieniec dziś jeszcze jest ogniskiem dla malarzy i artystów jakby stworzonem ręką opatrzności! O ileż piękniej a potężniej wtapiało się to wszystko w źrenice wieszcza, który prócz tego obracał się pomiędzy ludźmi, należącymi istotnie do Polski jeszcze żyjącej!...

To też, gdy podziwiamy we wierszu każdym i w zdaniu każdem bogactwo myśli polskiej dla *twardéj służby Bożéj* Juljusza, przyznać musimy, że jest to odbicie jakby tęczy przez promienie słońca na tle widnokręgu polskiego, z Podola Krzemienieckiego, na pograniczu Wołynia Południowego.

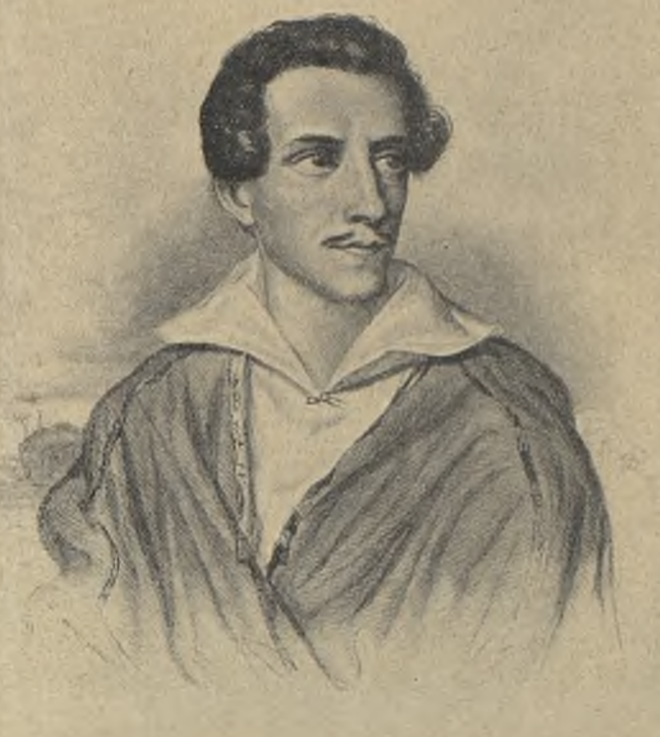
Gdy prochy wieszcza wielkiego wracają na ziemię ojczystą, niechże ta wspominka o ziemi jego odrodzonej, będzie mu kwiatem niezapominajki miłej!!



Miodobory.

MATKA i SYN.

Stosunek Słowackiego do matki, jak się rozwijał, jaki obraz przedstawiał, czem był w swojej istocie, w sercu każdego istotnie może wzbudzić jedynie wzruszenie i głęboką cześć dla poety, któremu matka była tem, czem nic innego być nie mogło. Każda myśl, każdy krok był przedsiębranym z tą jedynie myślą co matka nato powie, czy sprawi jej tem jakąkolwiek przyjemność, czy matka będzie z tego zadowoloną. Raz zapytany w domu przez jedną z pań, które były podówczas u Słowackich obecne, która z nich jest najpiękniejszą, bez wahania odpowiedział, że matka. A później tak ją opisywał: „Jak jedna z tych Madonn hiszpańskich, oczy ty masz wielkie, zielone a ciemne, pełne słońca, w dołach czarnego smutku świecące się, jak tajemnicze lampy w Jozafatowych dolinach; wierz mi, że Twoja piękność Matki Boskiej jest najbliższą pięknościom aniołowym". A jednak można powiedzieć, że matka Słowackiego nie tylko nie miała piękności aniołów, jak to sobie syn wyobrażał, ale nawet do ziemskiej wiele jej brakowało. W całej postaci wybijały się jeno wielkie, pałające oczy, w których mieścił się cały urok łatwo ludzi porywający. Ale dla poety kochającego nad życie swoją matkę, była ona czemś tak skończenie pięknem, czego sobie wyobrazić nie był w stanie. Bo też matka była dla niego równocześnie całem jego życiem i marzeniem. To też stosunek do niej budzi tylko wzruszenie. „Czemże ja byłbym — pisze — gdyby nie ty mamo moja! wszystko mam od ciebie, wszystkiemu złemu sam jestem winien". I te słowa najlepiej charakteryzują i jego samego i matkę i tę ścisłą wzajemną zależność od siebie.



JULJUSZ SŁOWACKI

W listach swoich poeta matce zwierzał się z swoich najskrytszych myśli, ze wszelkich wzruszeń i marzeń. Matka zawsze spieszyła z radą i pomocą, cieszyła się tem co i syna cieszyć mogło, smuciła jego smutkami. Ale i te listy syna, zawsze pełne najserdeczniejszej miłości czasem niosły i troskę, cierpiała bowiem, gdy był smutny i niezadowolony z życia, drżała o jego zdrowie, obawiała się o wszystko, zwłaszcza, że Słowacki był drażliwy, nieprzystępny i kapryśny, a matka w swojej miłości nie znającej granic wszystkiemu pobłażała. Gdy zaczął tworzyć, matka

„LILLA WENEDA".

Ojcze! błogosław mi — może nie wrócę —
Ale ci lutnię twoją przyślę złotą;
A jeśli jaka struna z najmaleńszych
Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń triumfu,
Pomyśl, że struna ci ta przypomina
Najmłodsze dziecko, i uderz ją ręką,
Niechaj nie płacze.



A. Andriolli mal. „Lilla Weneda"

była niejako tym wskaźnikiem, który mu cel życia kreślił. Na czele pierwszych jego poezyj napisała słowa pełne zachęty: „Śmiało więc, młodzieńcze, na zaczętej drodze, bo wielka jest przyszłość każdego, ktokolwiek, poczuwszy w sobie iskrę boskości, w jasne słońce ją rozdmucha". Te słowa zapadły głęboko w serce poety i świeciły odtąd jasno na drodze jego życia. Marzył zawsze o sławie, jeszcze w dzieciństwie modlił się żarliwie: „O Boże! daj mi sławę choć po śmierci, a zato niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym, i niepoznanym za życia". A później w liście do matki pisał: „Droga moja, ja osiem lat mając, przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, a zato za grobem o wszystko się upomnę". To gorące pragnienie sławy ze słowami matki, zachęcającej do pracy, podnosiło go nieraz w chwilach zwątpienia i zniechęcenia, a osładzały chwile goryczą przepełnione. Później, gdy wyjechał zagranicę, aby do Krzemieńca już nie powrócić, poezja stała się niejako łącznikiem między nim a matką. Przysyłając jej swoje utwory pisał równocześnie: „To tak samo, jakbyś mnie zobaczyła, bo ja nie jestem niczem innem jak mojemi poezjami". Ta wielka miłość syna dorównywała miłości matczynej.



SALOMEA SŁOWACKA (matka poety).

Uczucia te rosły w miarę lat, na wygnaniu zaś szukał w listach do matki takich słów, któreby zdołały jak najsilniej tę miłość wyrazić: „Droga Mamo, całuję ciebie z duszy, z całego serca mojego. Matko moja, ty nie wiesz, ile przez to oddalenie zebrało się w mojem sercu łez i miłości dla ciebie, tak, że serce mi ciąży, że chciałbym gwałtownie upaść na kolana u nóg twoich i płakać... Matko, Mamo, Mamuniu, wszystkiemi imionami, jakie ci dawałem w życiu, wołam ciebie i zaklinam, abyś mi nie płakała... A ty, Matko droga, ciebie po tysiąc razy ściskam, całuję, cierpię z tobą. Myślę o tobie zawsze! zawsze! i będę twoim, jedynie twoim, póki będę żył na tej nędznej ziemi".

Ta miłość do matki towarzyszyła mu we wszystkich momentach życia. Nie ucieszały stęsknionego serca ani liczne podróże, nie zatarły w duszy jej obrazu, ani cuda przyrody, ani nowe kraje. Tęsknota szła za nim jak cień i wlokła się długim korowodem smutku i goryczy. Zdawało się, że obecność matki dopełniałaby mu wszystkie piękności, dodawała blasku i wyrazistości wszelkim odniesionym wrażeniom, i ubarwiała wszystko stokroć większym urokiem.

Dr. A. B.

WYJĄTEK Z LISTÓW DO MATKI J. SŁOWACKIEGO.

Bayrut, dnia 19 lutego 1837.

Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa. Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblję, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do 12 weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna jak sądziłem małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień a potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mię w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją większą lub mniejszą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także, jak widziałem przez szczeliny, zaczął w swojej altanie dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło, Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, świergocąc o wschodzie słońca. Grecy na grobie odprawiali Mszę, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze Mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: Nie ma go tu, zmartwychwstał! — słuchałem całej Mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, ktore się zmęczy łzami.

„JAN BIELECKI“.
(WYJĄTEK).

Poemat ten napisał Słowacki w pierwszej dobie swej twórczości, przed rokiem 1834.

Bielecki, przez złych ludzi skrzywdzony niewinnie, potem odstępca od wiary ojców, obarczony zbrodnią, nękany wyrzutami sumienia, został przeklęty przez własne społeczeństwo.

Pomysł utworu wziął poeta z podań historycznych.

Msza się skończyła. — Oto w niskie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz niewesoła.
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić Boskie słowo. —
„O bracia! dzieci! i tegożem dożył?
Ja stary wiekiem z ubieloną głową,
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w Bożém słowie.
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tćj wioski.
Zdradził kraj, wiarę. — Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
A teraz bracia! dzieci! ja przeklinam!“!..
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen, — lecz amen żałoby,
Jakże niechętne, dźwiękiem ledwo żywe.
Potém się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie.
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamieszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie,
Kląkł nad nim, cicho przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Zadrżał, i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie,
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca,
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrżał... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi — twarz blada, nieżywa;
I rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do domu!“...
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą.
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą,
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
A jego litość liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku i głębsza nad morza“.

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewica!
To Anna! Z ust jéj nie słyszano słowa,
Czy brak w niéj czucia? bo sucha źrenica;
Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty,
I brylantami oświecone szaty;
We włosach jedne przepaski z korali.

„O mój najmilszy!“ rzekła „o mój drogi!
Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął — a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami!...“
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potém nań kwiaty rzuciła wonnémi:
„Luby! nie zaśniesz na rozstajnéj drodze,
Sama w święconéj pochowam cię ziemi“.

Rzekła — krzyż jeden wyrwała z mogiły,
Kopie grobowiec wśród świeżéj darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnéj czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy:
Lecz coraz bardziéj ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty wzory,
Lica wyśrebrzał — a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.



K. Mirecki mal.

JAN BIELECKI

PRZYPOWIEŚĆ O OJCZYŹNIE.

Pewnego dnia... gdy kry na Wiśle pękały, a mosty były zerwane... pokazało się ludowi warszawskiemu na drugiej stronie Wisły cudowne zjawienie.

Ojczyzna niby przez sto lat nie widziana, a w anioła przemieniona tęsknotą ludu, a słońcem przez Boga ukoronowana, stanęła nad wodą i wyciągnęła ku ludowi swojemu swe matczyne ramiona... prosząc, aby ją wzięli synaczkowie wierni i przenieśli przez Wisłę i postawili w stolicy ducha.

Lud więc cały z krzykiem i wrzaskiem, postrzegłszy matkę swoją na drugim brzegu stojącą, zapragnął jej ogniście.

Lecz żadnego nie było, ktoby umiał pływać; mosty zaś były zerwane.

I rozpacz lud ogarnęła!

A widzenie trwało jakoby przez dziewięć godzin dnia zimowego.

Jedni rzucali się w wodę i tonęli; drudzy szli aż po szyję, a... dna nie znalazłszy już pod nogami... wracali; inni chcieli budować pontony i posłali do Francji po inżynierów; inni nareszcie zaczęli bić profesory, których obowiązkiem było uczyć w szkole sztuki pływania.

A gdy widzenie zniknęło, smutek był po umarłych i większy jeszcze żal po ojczyźnie straconej!

Wszakże znów stanęli starzy ludzie, którzy naród cieszyli nadzieją mówiąc:

„Miejcie dobrą otuchę, albowiem anioł ten niezawodnie pokaże się nam, nim pomrzemy.

A uczyni to albo zimą... gdy lód będzie na wodzie... albo latem... gdy mosty rzekę nam do przejścia łatwiejszą uczynią.

Dlaczegóżby miał znowu obierać Wielki tydzień, a pojawiać się jakby na udręczenie nas biednych?

Wszakże widział, jak oto nawet... tonąc dla niego... umiemy tysiącami ofiarować mu życie nasze. A pełni jesteśmy odwagi.

Ufajcie Bogu, a miejcie oczy silnie zawsze na tamten brzeg obrócone, a nawet krzyczcie głośno wszystkiemi głosy: „p o k a ż s i ę!" może usłyszy".

A jeden człowiek był, który nie krzyczał, owszem, naganiał owe próżne bezsilne krzyki i wołania; a sam co ranek, rozebrawszy się do naga, biodra swoje przepasywał i rzucając się do wody, mordował się z Wisły falami.

Aż mu pierś ową pracą rozrosła się, a oddech posilniał... tak, że nie tylko na wodzie, ale pod wodą mógł zostać całe godziny.

A inni mówili, że szalony jest i głupiec, bo pod wodą chodzi, a żadnych ryb nie wyciąga.

Czy pereł szuka — krzyczeli — a tego nie wie, iż perły są w morzu... a Wisła jeno muł ma na spodzie i chwasty.

Wszakże uczyli się pływać od swoich profesorów.

A do Francji posłali niektóre, aby się w sztuce inżynierskiej wyćwiczyli.

I stało się, że dnia jednego dał się słyszeć głos, niby z pod ziemi wychodzący... który wołał: „Ojczyzną waszą jestem! znów przychodzę"!.

A lud, zbiegłszy się nad Wisłę, słuchał i głos ten niewidzialnemi usty wydany słysząc, radował się—wpadł w szaleństwo.

Lecz około jakby wieczora, nie widząc nigdzie anioła... gdy nareszcie i wołanie ono ustało... wrócił do domu smętny, mówiąc: „Wiatr był i złudzenie"!.

Sam jeden człowiek ów, który się był nauczył pod wodą oddychać, nie stracił nadziei, albowiem, uważniej głosu słyszanego pilnując, przekonał się, iż ten jakoby od Krakowa ku Gdańskowi spodem wody wędruje.

Upatrzywszy więc czas i minutę... gdy anioł podwodny (ciągle idący) był mu najbliższy... rzucił się w toń, ofiarowawszy wprzód Bogu życie swoje.

I wobec tej garstki ostatniej, która jeszcze na brzegu stała smętna, zniechęcona i bez nadziei, a jeszcze trzymała w ręku mosty gotowe i odwagę miała rozpaczy — zjawił się rybak ów podwodny, lecz jakby umarły! a niesiony na rękach przez anioła jasnego — przez ojczyznę!

A ojczyzna szła do miasta, niosąc ciało jego i mówiąc: „Nie umarł, ale śpi, a tylko w omdlałość wpadł, gdy mię pod wodą twarz w twarz zobaczył i samotny się ujrzał, że mnie jeden wyciągnąć niezdolny.

Oto przez wolę i miłość jednego człowieka, który się domyślił drogi, po której pójdę, wyratowaną jestem i żyć będę na wieki".

JULJUSZ SŁOWACKI.

„ANHELLI".

Osiadłszy na dłuższy czas w uroczej Florencji wykończał Słowacki pomysły, poczęte w okresie podróży na Wschód. Zajmował go obecnie poemat prozą biblijną pisany. Poematem tym był „Anhelli". Tam to w szeregu obrazów, pełnych niewysłowionego smutku, roztoczył przed oczyma czytelnika tragiczne dzieje wygnańców, którzy rozdarci niezgodą, pędzą żywot godzien litości, dręczą się nawzajem i giną, dopóki ostatnich z nich Bóg śmiercią nie pokarze za bluźnierstwo. Wyróżnia się z pośród nich jeden tylko Anhelli, czysty „jak lilja", o sercu pełnem miłości i litości dla ludzi. Jego to obrał sobie Bóg za ofiarę za grzechy narodu. I on także umarł na wygnaniu, ale po jego śmierci zorza olbrzymia zajaśniała na niebie, a z zorzy tej powstał rycerz zbrojny na koniu i głosem wielkim ogłosił światu, że wybiła godzina wolności.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łóżku liścianém pomiędzy renami swojemi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu, zaczęły się noce w ziemi sybirskiéj i słońce coraz dłużéj zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy, zalane łzami wielkiemi, rzekła Ellenai: Umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam.

A powiedziawszy gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: Czémże ja będę po śmierci?

Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcéj jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy...

Nie zapominaj o mnie — bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren, któregom doiła, zalewając się łzami.

Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.



Jacek Malczewski mal. Śmierć Ellenai

Oto ja polecę do krainy twojéj rodzinnéj i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją?

I nawet miejsce te, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękiejsza.

A oto patrzaj, nad łożem mojém, ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to Anioł złoty, stojący nademną?

Reny wyciągają mech z pod mojéj pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

A teraz podniosę oczy do Królowy Niebieskiéj i będę się modliła do Niéj.

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanije do Matki Chrystusowéj, i właśnie wymówiwszy: *Różo złota!* — skonała.

I na znak cudu, upadła róża żywa na białe piersi umarłéj, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niéj woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszać ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża, płakał.

„BALLADYNA".

Treść do tego utworu wziął poeta z baśni; osnuł ją bowiem na podaniach i pieśniach ludowych. Wprowadził do utworu „świat duchów", które odgrywają w utworze tym ważną rolę.

Oczywiście duchy owe, wpływające na przebieg zdarzeń w poemacie przenoszą myśl czytelnika również w świat fantazji i to bardziej nawet niż opowieść o złej dziewczynie, która zabiła swą siostrę. Ową złą dziewczynę wiejską, morderczynię siostry, nazwał poeta Balladyną. Jeszcze ona nic złego nie popełniła, jeszcze zbrodnia jej nie plami, a czytelnik odwraca się już od niej z niechęcią, z rozmowy jej bowiem z matką staruszką poznaje w niej brak serca.

Treść dramatu stanowi szereg zbrodni popełnionych przez Balladynę.

Największą ozdobą poematu jest świat fantastyczny: Goplana królowa jezior, Skierka i Chochlik duchy. Takie to postacie lekkie, powiewne jakby istotnie z mgły i barw tęczy utkane, taki język ich przecudny, pełen poezji najczystszej, że owładają one całkowicie naszą duszą i przemawiają do nas bardzo silnie.

Gdy czytamy te wiersze, dźwięczne jak słodkie brzmienie muzyki, zdaje nam się istotnie, że bawimy w jakiejś czarownej, zalanej złotemi blaskami słońca krainie, a Chochlik i Skierka przestaje być zjawiskiem niespodziewanem.

To też z prawdziwem żalem żegna czytelnik przy końcu utworu królowę Gopła i jej towarzyszy, kiedy ulatują z kluczem żórawi na północ.

(Wchodzi Balladyna *z dzbankiem na głowie).*

B a l l a d y n a. Jak mało malin! A jakie czerwone,
By krew. — Jak mało — w którą pójdę stronę?
Nie wiem... a niebo jakie zapalone,
Jak krew... Czemu ty, słońce, wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną niż taki poranek...
Gdzie moja siostra... musiała na prawo
Pójść i napełnić malinami dzbanek;
A ja śród jagód chodzę obłąkana
Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.

A l i n a *(z głębi lasu).* Siostrzyczko moja!
A gdzie ty?... [siostrzyczko kochana!

Balladyna. Jaki uśmiech w Aliny głosie!
Musi mieć pełny dzbanek... *(Alina wchodzi).*

A l i n a. Cóż, siostrzyczko?

B a l l a d y n a. Co?...

A l i n a. Czy masz pełny dzbanek?

B a l l a d y n a. Nie...

A l i n a. Balladyno,
Cóż ty robiłaś?

B a l l a d y n a. Nic.

A l i n a. To źle, różyczko...
Ja mam dzban pełny mniej jedną maliną.

B a l l a d y n a. Weź tę malinę z mojego dzbanka

A l i n a. Miła!...
Siostrzyczko moja, powiedz, gdzieżeś była?
Wyszłyśmy razem, miałaś dosyć czasu;
Wszak ja ci, siostro, nie ukradłam lasu,
Dlaczegoż teraz z taką bladą twarzą?
I z przyciętemi ustami...

B a l l a d y n a. Wyłażą
Z twojego dzbanka maliny jak węże,

Aby mię kąsać żądłami wymówek.
Idź i bądź panią! siostra się zaprzęże
Jak wół do pługa, będzie tłoczyć olej
Z kolących siemion i z brzydkich makówek.
Alina. A wstydź się, siostro... proszę cię, [nie bolej
Nad mojem szczęściem.
Balladyna. Cha! cha! cha!
Alina. Co znaczy
Ten śmiech okropny? Siostro! czy ty chora?
Jeżeli wielkiej doznajesz rozpaczy,
To powiedz... Ale ty kochasz Kirkora?
Ty bardzo kochasz? Siostro! powiedz szczerze?
Bo widzisz, rybko, są inni rycerze,
Jak będę panią, to ci znajdę męża...
Balladyna. Ty będziesz panią? ty! ty! *(Dobywa noża).*
Alina. Balladyna!...
Co ten nóż znaczy?...
Balladyna. Ten nóż?... to na węża
W malinach...
Alina. Siostro, jesteś blada, sina.
Kalinko moja! co tobie? co tobie?
Czemu ty blada? ach! jak to okropnie!
Przemów choć słówko!
Usiądźmy tu obie
I mówmy z sobą otwarcie, roztropnie,
Jak dwie siostrzyczki. *(Siadając na murawie).*
Ja kocham Kirkora,
Ach, nie dlatego, że Kirkor bogaty,
Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty;...
Balladyna. *(wstając z pomieszaniem).* Och!...
Alina. *(wstając).* Miła!...
Co tobie?...
Balladyna *(ze wzrastającem pomieszaniem).*
Gdybym cię, siostro, zabiła?...
Alina. Co też ty mówisz?...
Balladyna. Daj mi te maliny!...
Alina. A kto wie, siostro? gdybyś poprosiła,
Pocałowała usteczka Aliny,
Możebym dała?... spróbuj, Balladynko...
Balladyna Prosić?...
Alina. Inaczej żegnaj się z malinką,
Balladyna. *(przystępując).* Co?...
Alina. Bo też widzisz, siostro, że ten dzbanek,
To moje szczęście...
Balladyna *(z wściekłością natrętną).*
Oddaj mi ten dzbanek!
Alina. Siostro?...
Balladyna. Oddaj mi... bo!...
Alina. *(z dziecinnem naigrawaniem się).*
Bo! .. i cóż będzie...
Bo?... Nie masz malin, więc suche żołędzie
Uzbierasz w dzbanek—czy wierzbowe liście?...
I tak... ja prędzej biegam i przez miedzę
Uciegnę ciebie...
Balladyna. Ty?...
Alina. A oczywiście,
Że ciebie w locie, siostrzyczko, wyprzedzę...
Balladyna. Ty!
Alina. O! nie zbliżaj się do mnie z takiemi
Oczyma... Nie wiem... ja się ciebie boję.
Balladyna *(zbliża się i bierze ją za rękę).* I ja się boję... połóż się na ziemi...
Połóż! ha! *(zabija ją).*
Alina. Puszczaj.... och!... konam... *(pada).*



K. Alchimowicz rys. Śmierć Aliny.

JULJUSZ SŁOWACKI

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,
Dziś was rzucam i dalej idę w cień z duchami—
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia; —
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla Ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
A gdy zatonął — z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej Ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę..

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

JULJUSZ SŁOWACKI

HYMN
O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie,
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze:
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi Boże!

Jako za matki odejściem się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski!
Choć wiem, że jutro błysną nowe zorze:
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkim morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany,
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze:
Smutno mi Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi;
Żem nie znał prawie rodzinnego domu:
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu:
Że nie wiem, gdzie się w mogile położę:
Smutno mi Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił — popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łoże:
Smutno mi Boże!

Kazano w kraju, niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie
Płynąc po świecie.
Więc że modlitwa dziecka nic nie może:
Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący — marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę!
Smutno mi Boże!

„LILLA WENEDA“

— Polelum,
Jedyny to jest dla ojca ratunek,
Ojciec na drzewie powieszony, skona,
Jeść mu nie dano, ani pić — on skona!



A. Andriolli mal. „Lilla Weneda“

OSTATNIE CHWILE JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Szczęsny Feliński, późniejszy ksiądz i arcybiskup warszawski, w liście do Teofila Januszewskiego opisał ostatnie chwile wielkiego poety. List ten brzmi, jak następuje.

Paryż, 7 kwietnia 1849.

Serce mi się rozdziera myśląc jak bolesny cios list ten przyniesie państwu. Nie miło to być zwiastunem nieszczęścia i chętnie komu innemu ten obowiązek — bym ustąpił ale będąc jedynym Polakiem, który był świadkiem ostatnich chwil naszego Juljusza, uważam sobie za powinność udzielić pamiętnych szczegółów. — Tak, Juljusz nie żyje! Ale, jeżeli co pocieszyć nas może po tej stracie, to jego zgon prawdziwie chrześcijański. Śmierć jego tak lekka, tak piękna się wydawała, że mimowolnie wyrywała się modlitwa do Stwórcy o zgon podobny. — Przyjechawszy przed dwoma tydodniami do Paryża, znalazłem Juljusza nadzwyczaj zmienionym, Przyjął mię temi słowy: „Dobrze żeś przyjechał, nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już się wszystko kończy, Pan Bóg mię wzywa do siebie“. — Sądziłem, że to jeden z ataków, jakie miewał dawniej, i że wiosna mu ulgę przyniesie. On tak mało mówił o swojem zdrowiu, i chociaż po nocach nie sypiał i często cierpiał mocno w dzień, jednak był rzeźwy i czynny jak dawniej.

Pierwszego kwietnia, kiedym przyszedł do niego, powiedział mi, że w nocy mu tak źle było, iż dnia nie spodziewał się dożyć, — Pytał, czy nie znam jakiego ubogiego rodaka, któryby chciał sypiać u niego, gdyż czuje, iż śmierć się zbliża, a wolałby, żeby mu oczy zamknął rodak niż obcy. Prosiłem aby mi pozwolił przenieść się do siebie, ale nie przyjął tego, nie chcąc odrywać mnie od moich obowiązków, a kiedym nalegał dłużej, powiedział, że później pomówimy o tem.

— „Wreszcie“ dodał, „może mnie Bóg tak jakoś przeniesie“.

Nazajutrz mówił mi, że zaczął przepisywać swój niewydany jeszcze poemat, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Prosiłem, aby mi dyktował, co też przyjął, i tak jedną część napisaliśmy, ale i to już go męczyło, więc resztę odłożyliśmy na później. Żegnając się polecił mi, żebym był u księdza Praniewicza i zapytał go, czy może przyjść z Sakramentami do niego.

Trzeciego kwietnia we wtorek, uprzedziłem księdza i przyszedłem do Juljusza zapytać, kiedy chce się spowiadać. Zastałem u niego Francuza Petiniaud, z którym Juljusz od dwóch lat był w zażyłości i który od czasu choroby codzień go nawiedzał i ten mi powiedział, że Juljusz bardzo źle noc przepędził, a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątej zemdlał, i zdawało się, że już skończył. Ja zastałem go w łóżku, ale już przytomnego zupełnie. Zapytałem go o zdrowie, powiedział, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo słabym. Zapytał o księdza i chciał, abym go natychmiast wezwał. W pół godziny przywiozłem księdza, który pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po Sakramenta. Tymczasem Juljusz widząc nas rozrzewnionych, wziął mię za rękę i głosem przerywanym, ale wyraźnym i spokojnym powiedział te kilka wyrazów, które w pamięci głęboko zachowałem: „Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można, ale szczęśliwy jestem, że dziś, jakby na pożegnanie, list jej odebrałem i z myślą o niej umieram“. Po chwili milczenia wzniósł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej: „Wiara w nieśmiertelność ducha i w sprawiedliwość Bożą jest nowym darem Stwórcy nam udzielonym. Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Dotąd przeczuwano, że Bóg jest sprawiedliwy, ale nie pojmując Jego sprawiedliwości, przypuszczano istnienie mnóstwa sztucznych kółek za pomocą których Bóg wynagrodzi kiedyś niesprawiedliwość i cierpienia tegoż żywota.

Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ją pojmuję; tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką dziś oddaję w ręce mego Stwórcy. — Wszak prawda?! Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku czy

w własnym dworze, przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi.“

Wtem ksiądz powrócił, a kiedy po spowiedzi ofiarował mu przenajświętszy Sakrament Juljusz wstał o własnej mocy i ukląkł na łóżku, potem przyjął ostatnie namaszczenie z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. — Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnej twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie można było oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknego świętem zachwyceniem. — Po chwili takiego skupienia wewnętrznego wyciągnął do nas ręce i z łagodnym uśmiechem powiedział: „Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta i myślałem często o tem, czy też tej łaski dostąpię“. Potem wypił trochę gorącej herbaty i prosił, żebyśmy go zostawili, gdyż chciał spocząć.

Wyszliśmy do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte i widzieliśmy jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, żeby to nie był sen ostatni, otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i chrapliwy. Widząc, że nie śpi, weszliśmy znowu, prosił o trochę wina czerwonego, które już z trudnością połykał. Potem kazał mi przynieść książkę, z której mi w wilję dyktował i pokazywał mi, w jakim porządku potrzeba dalej przepisywać, ale niedoszedłszy do końca, zamknął ją mówiąc z uśmiechem: „wszystko to głupstwo“. Potem prosił, żeby go posadzić w innej pozycji, a kiedyśmy to uskutecznili, powiedział jak zawsze, z uśmiechem: „Może to w tem położeniu śmierć mnie zastanie“ Potem zamilkł, ale często spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć o której godzinie do wieczności się przenosi. Przed samym zgonem wyciągnął do nas ręce i zrobił znak, że chce wstać, lecz zaledwieśmy go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drżeć poczęło. Oddech był coraz cięższy, trudniejszy i powoli słabł, oczy na wpół się zamknęły i mgłą zaszły, podtrzymywałem mu głowę, a Petiniaud nacierał mu puls i skronie, ale już nic niepomagało, po chwili oddech ustał i serce bić przestało. Wszystko się skończyło, już nie żył! — Kiedy pierwsza boleść się uspokoiła, zamknąłem mu oczy i poleciłem Bogu ducha jego.

W komodzie, od której klucz miał w ręku, znaleźliśmy testament, jeszcze przed dwoma miesiącami napisany, gdzie matkę swoją i pana robi jedynemi dziedzicami swemi, a Petiniaud wykonawcą testamentu. W drugiej notatce były szczegółowe rozporządzenia rzeczy i pogrzebu.

Dnia piątego kwietnia odbył się pogrzeb Juljusza na cmentarzu Montmartre i grób jego wypadł dziwnym przypadkiem na przeciwko grobu Izydora Sobańskiego.

Kilkudziesięciu Polaków odprowadziło zwłoki na cmentarz, i łzami swemi uczcili po raz ostatni pamięć człowieka którego stratę cała Polska uczuje. Zapewne Petiniaud odeszle panu pukiel włosów, które odcięliśmy zaraz po śmierci dla matki, zrobił także portret jego pośmiertny, który zapewne będzie litografowany.

Sił mi nie staje pisać dalej o stracie, którą tak mocno uczułem był on dla mnie więcej niż przyjacielem. Żegnam więc pana...“

Od tego czasu upłynęło lat 78, aż kiedy obecnie Polska odrodzona sprowadza szczątki nieśmiertelnego Juljusza na wolną ziemię swoją i czci je zaszczytem najwyższym, królewskim!

Dr. St. E. R.

PROCHOM JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Z radości serce aż wali,
bo oto po latach wielu
Twe prochy wracają z oddali,
by spocząć w kryptach Wawelu!...

Nie dano oglądać Ci słońca
Wolności na swoim ugorze;
Twa dusza, wiecznie tęskniąca,
szeptała: „Smutno mi, Boże“!...

Dziś, gdy wracają do kraju
relikwje Twoich popiołów —
wszystkie Cię serca witają
i dzwony ze wszystkich kościołów!...

A z piersi w radosnym odruchu
głos pada śród kwiecia deszczu:
„Hetmańże nam, Królu-Duchu,
genjuszu z trójcy trzech Wieszczów“!

E. KŁONIECKI

BAŚŃ TATRZAŃSKA O KRÓLU WĘŻÓW.

Dokończenie.

Perłowic wrócił do chaty, nabrał do torby placków, smocze gniazdo podpalił i szedł dalej w górę rzeki z zakrwawioną paliczką.

O zachodzie słońca przyszedł do wielkiego jeziora. Dookolusieńka okrutne skały sterczały, a nad brzegami nie było smreków, tylko niewielkie drzewinki z szyszeczkami, jak u sośniny. Nocować tu Perłowic umyślił, więc wziął się do rąbania drzewek, a że pnie drzewinek nie stały prosto, ale zrazu rozkładały się po ziemi, a dopiero potem podnosiły się ku górze, więc drzewka były krzywe i Perłowic powiedział, że to kosodrzewina.

Potem łapał ryby, a że pstrągów była straszna moc, więc jezioro nazwał Rybie, i tak je górale do dziś dnia nazywają; szlachta zaś Morskiem Okiem je przezwała.

Wyspał się Perłowic dobrze, wstał rano, zmówił pacierz i na prawo po bystrej uboczy drapał się ku wierchom, bo tylko tędy była droga; wszędzie indziej skały, jak z pieca na łeb. Drapał się i drapał przez kilka godzin, aż doszedł do miejsca, gdzie leżała wielka gromada diamentów i srebrnych łusek. Nie zdjęło go łakomstwo, plunął na to wężowskie śmiecisko, a tu z pod skały wyskakuje rozjadła paczwa w postaci mnicha i pędzi na Perłowica z roziskrzonemi ślepiami, zacisnąwszy kościste kułaki. Jak Perłowic chwyci paliczkę, jak wytnie w czub: — łeb odleciał, mnich został. Odrosła mu wprawdzie głowa, ale kamienna i cały się w skałę przemienił. Żywa głowa potoczyła się ku dołowi, przewracając oczami i ruszając wystraszoną gębą, a takiego pędu nabrała, że do sądnego dnia taczać się w Tatrach nie przestanie, a kto tylko ją spotyka, to go nieszczęście nie mija.

Perłowic szedł dalej i niedługo wydrapał się na wierchy. Gdzie tylko spojrzy nie ma nic, tylko kamienne turniska, srebro i diamenty. Pod turniami tu i ówdzie jeziora, wodopoje króla wężów. Są wodopoje króla wężów, ale króla nie widać, więc zaczął go Perłowic szukać po wierchach. Dwa dni chodził napróżno, marznąc od zimna, jedząc smocze placki i zabijając po drodze przeróżne brzydkie paczwy, co ku niemu z różnych dziur wypełzały. Aż trzeciego dnia spotkał się z królem wężów. Skoczy ten i ten skoczy. — Wąż pysk rozdziawił, żeby Perłowica połknąć, a ten jak zacznie paliczką bić, a tu srebrne łuski, jak plewy się sypią, diamenty z czuba łuszczą się, jak groch i posoka dobywać się ze łba zaczyna. Łeb twardy, nie pękł, ale wąż umknął co tchu.



...ogródek skopał i ożenił się z lilją białą...

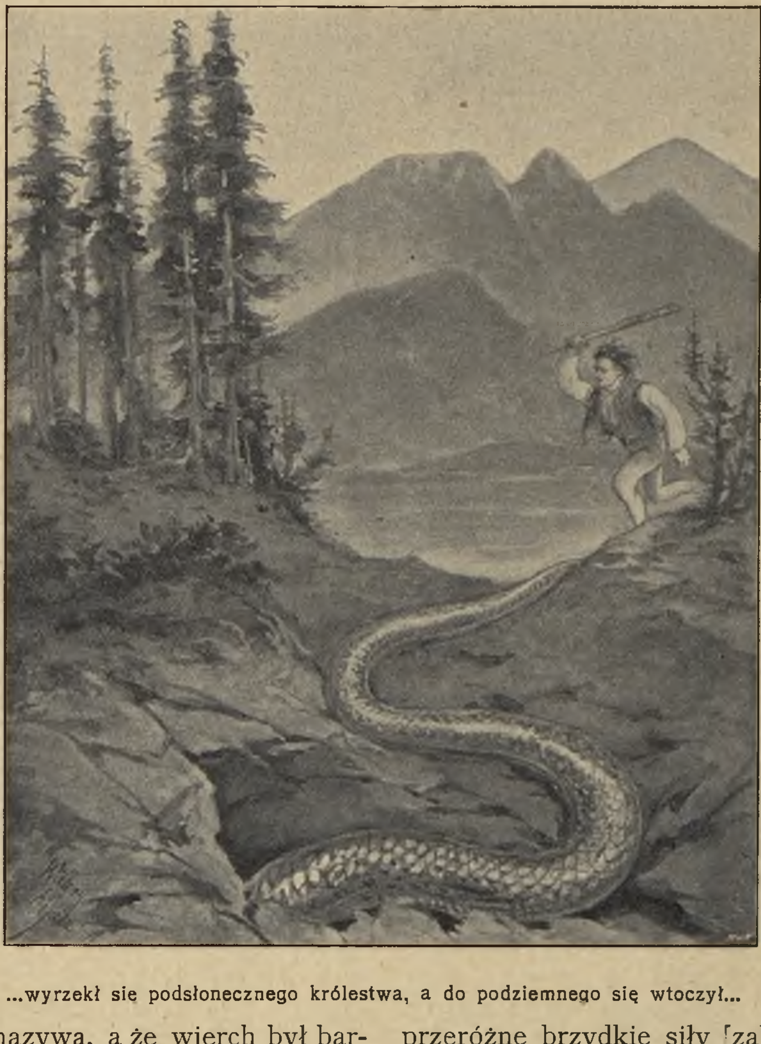
Ześlizgnął się do kamiennej doliny między turniami, z wielkiego bólu strasznie się wił i wiercił, więc dlatego ta dolina Wiercichą się nazywa. Perłowic gonił węża, ale mu nie sporo było, bo ubocza są bardzo bystre. Nim zeszedł do doliny, wąż się wysapał i umyślił się bić znowu, ale żeby mu lepiej było, to wypełz na wielki wierch i tam czekał. Drapie się zwolna ku niemu Perłowic, węża strach ogarnia i myśli sobie: trzeba tę pchłę naprzód uciszyć, a potem znienacka ją połknąć, inaczej będzie źle; więc woła z góry miodowym głosem: — Przyjacielu, przebacz, żem cię napadał, pogodzimy się, na zgodzie nie stracisz, królewskiemi łaskami cię obsypię. Perłowic nic nie odpowiada, ale prosto do węża idzie.

— Synu ukochany, córkę oddam ci za żonę. Perłowic milczy i już jest o sto kroków od węża. — Bracie, królestwem się z tobą podzielę. Perłowic milczy i już jest o pięćdziesiąt kroków. — Sędzio sprawiedliwy, osądź, czy to nie moja własna ziemia!

Perłowic jak zacznie bić, a co paliczką uderzy, to woła sąd! sąd! sąd! Napróżno go wąż chce okręcić i zdusić; srebrne łuski na wszystkie strony bryżdżą, kości trzeszczą, drze się skóra, jak stary worek, i posoka, jak z cebra bucha. Wielki strach węża opanował, wyrzekł się podsłonecznego królestwa a do podziemnego się wtoczył.

Dziura, co ją w skale co tchu zrobił i którą uciekł, w pamięci sądu Perłowica Ratuszem się do dziś dnia nazywa, a że wierch był bardzo krwią zlany, więc go Czerwonym Wierchem do dziś dnia ludzie zowią.

Król wężów wśrubował się coraz głębiej pod ziemię, a że mu się w głowie z bólu i ze strachu kręciło, więc zmylił drogę i nie poszedł prosto na dół do piekła, ale wytoczył się na przyległą Czerwonemu Wierchowi Kościeliską Dolinę.


...wyrzekł się podsłonecznego królestwa, a do podziemnego się wtoczył...

Jak tylko zobaczył Perłowic, że w dole wąż srebrną łuską połyskuje, czemprędzej zaczął się spuszczać z góry do niego. Ten nie czekał, umykał, co siły wzdłuż doliną, ale choć był w wielkim strachu, nie zapomniał po drodze silnie machnąć ogonem i zawalić wielką skałą wejście do jaskini, gdzie stali obozem śpiący rycerze.

Wytoczywszy się z Tatr na Podhale, obejrzał się król wężów; Perłowic był tuż więc zakopał się znowu pod ziemię. Tym razem nie zmylił drogi, trafił prosto do piekła, a miejsce, gdzie się wkopał, ludzie Zakopanem nazwali. Droga, którą wąż Kościeliską Doliną się toczył, jest dziś drogą Czarnego Dunajca.

Tak Perłowic zwojował króla wężów. Skończyło się wężowskie królestwo.

Paczwy, smoki i przeróżne brzydkie siły zakopały się za swoim panem, a z padalcowej krwi, co ją poroztaczał po skałach, drobne węże się polęgły. Mają one złość i diamentowe czuby swego rodzica. Królami wężów także się nazywają, ale daleko im do owego pierwszego króla. Z ochotą do dziś dnia szkodzą i dokuczają ludziom, jak tylko mogą, ale małe są, i ani smo-

kom, ani śpiącym rycerzom nie królują. Oj bieda, że tych rycerzy zdążył padalec skałą zawalić, byłby ich pewno Perłowic razem ze wszystkiemi paczwami do piekła wyścigał; a tak zostali na podsłonecznym świecie — i kto potrafi skałę odwalić, to mu znowu będą służyć, jak kiedyś królowi węży. Nie wiecznie jednakże, bo napisano, że jak przyjdzie taki, co potrafi zdjąć urok i obudzić śpiących rycerzy i ich konie, to znowu na świecie sprawiedliwość, jak za Wyporka nastanie.

Jak tylko król węży się zakopał, i wiatr tę nowinę po turniach poroznosił zaczęły się obłoki nad Tatrami gromadzić, zlepiły się w wielką chmurę, popłynęły ku północy, spadły deszczem, i tejże chwili dowiedzieli się wszyscy górale o końcu wężowego królestwa. Ludzie co byli pod panowaniem króla węży, ściskali się i aż płakali z radości, ale zaraz łzy otarłwszy, nogi za pas i pędzą w Tatry po srebro i diamenty. Dopadli do wierchów, oczy im się zaświeciły, sięgają łakomą garścią; ale Pan Bóg chciwość ukarał, bo naraz wszystko srebro i diamenty w śnieg i lód przemienił. Nie wynieśli skarbów, ale zast, zobaczyli, że w Tatrach pastwiska zoumne, o po drodze niejedno miejsce dogodne do karczunku, a że ludzi był huk na podgórzu, więc prędko całe Podhale i wszystkie podtatrzańskie regle zajęli.

Perłowic do domu wróciwszy, ojca i matki kolana ściskał, przepraszał, że ich odszedł; przepraszał, że ich znowu na zawsze już odejdzie, i o błogosławieństwo prosił. Płakała Kasia, płakał żelazny Cap, ale się woli Bożej nie sprzeciwiali. A że w owe czasy zakonnicy zaczęli budować Czerwony Klasztor na tej właśnie małej rówience, gdzie to Perłowic po wyjściu z Pienin pierwsze swoje samotne ognisko rozłożył, więc pogromca króla węży poszedł do nich i pokornie upraszał, żeby go do swego zakonu przyjęli i pozwolili tutaj razem z nimi zamieszkać. Bardzo się zakonnicy namyślali, czy przyjąć takiego nieuka, co ani czytać, ani pisać nie umie, ale zgodzili się w końcu.

Perłowic długo mieszał wapno, dźwigał cegłę, a gdy klasztor był skończony i każdy z zakonników osiadł w małym domku, i on się w swoim rozgospodarował, ogródek skopał i ożenił się z lilją białą.

Jak tylko Perłowic odszedł na zawsze do ojca i od matki, Cap powiedział żonie tak: — Dzięki Panu Bogu mamy nad głową dach i ręce, choć nie młode, ale zdrowe. Moja kobieto, dzięki Panu Bogu i naszemu świętemu synowi, śpiący rycerze już nie przyjadą, pracujmy, żebyśmy po proszonem na starość nie chodzili. — Dobrze, Jasiu — powiedziała Kasia, i zakasawszy rękawy wzięła się do roboty. Cap jął się siekiery i bez wytchnienia pracowali lat dziesięć. Chorować nie mieli czasu, śpiący rycerze nie grabili, Pan Bóg błogosławił i po dziesięciu latach mieli tyle, że gdy niedługo starość do drzwi zapukała, nie potrzebowali wyciągać przed ludźmi rąk spracowanych. Lekka była śmierć tych sprawiedliwych ludzi.

HELENA WITKOWSKA

O WYBORZE ZAWODU

Zbliża się koniec roku szkolnego, tysiące młodzieży ukończy szkoły powszechne lub średnie i stanie wobec doniosłego zagadnienia co dalej robić, jaki wybrać zawód, jak pokierować swem życiem? Zagadnienie to ważne zarówno dla każdej poszczególnej jednostki, boć od trafnego wyboru zawodu zależy w znacznej mierze jej powodzenie i szczęście, a także ważne dla państwa, bo tylko odpowiedni ludzie na odpowiednich miejscach dadzą społeczeństwu największe napięcie wydajnej pracy, zdolnej pomnażać do nieskończoności jego zasoby materjalne i duchowe.

Na wybór zawodu oddziaływują dzisiaj często wpływy nie liczące się ze zdolnościami i upodobaniami młodzieży. Wchodzą tu w grę tradycje rodzinne, nadzieje łatwego zdobycia stanowiska i pieniędzy, bliskość lub przystępność zakładów naukowych, warsztatów pracy itp. Dopiero po niewczasie uświadamia sobie młodzież popełnienie w tej dziedzinie pomyłki, męczy się i tęskni do innego życia, do innych form działalności. Marnuje się stąd wiele

sił i uzdolnień, rozgoryczają się jednostki, uboży społeczeństwo.

W ostatnich latach zarysował się potężny prąd zmierzający do usunięcia powyższych niedomagań, do umiejętnego wskazywania młodzieży właściwych dlań stanowisk i dróg do ich zdobycia. Zapoczątkowany w Ameryce prąd ów dotarł i do nas. Pod jego wpływem uczeni psychologowie zwrócili swe badania w kierunku określenia właściwości fizycznych i psychicznych, niezbędnych do dobrego wykonywania różnych rodzajów pracy. Powstała nowa nauka zwana *psychotechniką*. Wiele ludzi poświęca się jej z zamiłowaniem i pożytkiem. Ma ona specjalne swe pracownie, zaopatrzone w maszyny i przyrządy; ma wydawnictwa, książki i czasopisma; ma stowarzyszenia wyłącznie sobie oddane. Organizują one zjazdy i kongresy, porozumiewają się ze sobą, obmyślają środki i sposoby szerzenia w społeczeństwie potrzebnych mu i pożytecznych wiadomości. Tak np.: w roku przeszłym odbył się we Francji, w mieście Bordeaux pierwszy międzynarodowy kongres, na którym omawiano zawody odpowiednie i dostępne dla kobiet; w jesieni 1927 roku zebrać się ma w Paryżu międzynarodowy kongres psychotechniczny, na który wybierają się uczeni ze wszystkich stron świata.

Wszędzie powstają *poradnie zawodowe* dla ułatwienia młodzieży wyboru zawodu, a także dla doboru odpowiednich pracowników do różnych, nieraz bardzo trudnych i odpowiedzialnych stanowisk. W niektórych krajach już żaden robotnik ani urzędnik nie otrzyma posady, o ile nie podda się badaniu w pracowni psychotecznicznej.

Polska, chce wykorzystać wszystkie siły i zdolności narodu. Zawiązało się *Polskie Towarzystwo Psychotechniczne*, którego organem jest kwartalnik poświęcony sprawom poradnictwa i doboru zawodowego[1]). Redakcja w przeświadczeniu, że przyszłość Polski w znacznej mierze zależeć będzie od rozwoju badań psychotechnicznych, skupić chce i przetopić dotychczasowe odosobnione poczynania w tej dziedzinie, na jednolitą i potężną akcję.

W nagłówku pierwszego numeru czytamy następujące słowa wicepremjera K. Bartla: „Życie państw i narodów jest dzisiaj wyścigiem pracy; w wyścigu tym zwyciężają te państwa i te narody, które w sposób najbardziej celowy i planowy potrafią zorganizować pracę, uczynić ją wydajniejszą, intensywniejszą i bardziej twórczą“.

Inne czasopismo pt. „Przegląd fizjologji i psychologji pracy“ wydaje Instytut Naukowej Organizacji w Warszawie[2]).

Pracownie psychotechniczne i poradnie zawodowe powstały najpierw w stolicy: najlepiej zapatrzona w różnorodne przyrządy i bogatą bibljotekę, to pracownia „Patronatu“ nad polską młodzieżą rzemieślniczą i przemysłową“; owocną działalność rozwija „Miejska poradnia dla dzieci kończących szkoły powszechne“; ogniskiem ciekawych studjów jest pracownia przy szkole budowlanej.

Pokrewne instancje organizują się w Krakowie przy Muzeum przemysłowem im. A. Baranieckiego, w Łodzi i Lublinie. Towarzystwo Psychotechniczne, w dążeniu do oddziaływania na najszersze warstwy społeczne, wygłasza przez Radio cały cykl wykładów poświęconych różnym zawodom.

W chwili przełomowej, gdy młodzież, po ukończeniu szkoły ogólnokształcącej, wybierać sobie musi drogę zawodowej pracy, warto rzucić na nią światło wiedzy psychotechnicznej — łatwiejszym stanie się wybór drogi właściwej, mniej będzie błądzenia i załamań. Dobroczynna wiedza pomoże do „wydobycia z narodu wszystkich sił jego moralnych i materjalnych, dla dobra całej odradzającej się ludzkości“[3]).

[1]) „Psychotechnika”. Warszawa, ul. Nowomiejska l. 7 m. 5. Redaktor Dr. Tadeusz Klimowicz.

[2]) Krakowskie Przedmieście 66.

[3]) Słowa wzięte ze wstępu do konstytucji polskiej z d. 17 marca 1921 r.

ALINA KWIECIŃSKA

W OGRÓDKU.

W ogródku już rozkwitły róże,
Rozkwitły mi szkarłatem
I w swych królewskich szat purpurze
Zawisły z majestatem.

W ogródku już jaśminy białe
Strząsają śnieżne płatki,
Wije się groszek i nieśmiałe
Lśnią aksamitne bratki.

Lato ze szczodrej sypie dłoni
Swe dary nam bez końca...
W ogródku naszym tyle woni
I tyle blasków słońca!

GUSTAW MORCINEK

NOWOCZEŚNI BOHATEROWIE.

Zmieniają się czasy.

Dawniej, przed wiekami, żyli bohaterowie legendarni. Różni rybałtowie, w pstre szatki odziani, i wędrowni śpiewacy chadzali wówczas po zamkach rycerskich i śpiewali o nich nadobne pieśni, brzdąkając na cymbałkach dla wtóru. A w pieśniach tych sławili niezwykłe dzieje bohaterów, co to okrutne smoki i szpetne poczwary porazili a wrogów pobitych w pojedynkę na kopy liczyli. A rycerze słuchali w długie zimowe wieczory, przy kominku, a ogień im się palił w piersiach. Białogłowy zaś ciężko wzdychały i jedna drugiej te dziwy po latach opowiadały.

Potem przyszedł czas, że smoków nijak nie można już było wyszukać, bo ich to poprawdzie nigdy nie było. Zato w księgach wielce grubych i w opowiadaniach zachwycano się dzielnością rycerzy o orlem sercu, o niezwykłej sile, coto wrogów w puch rozbijali a gdy przyszło, to ochotnie dla sprawy — w ich mniemaniu wielkiej — umierali, byleby jeno ratować honor rycerza.

A jeszcze później, gdy już nie stało rycerzy w żelaznych zbrojach, przyszły czasy, że o bohaterstwie nie rozstrzygała siła jednostki, lecz jego wytrzymałość, silna wola. Kto dłużej wytrzymał w rowach strzeleckich, kto potrafił przetrzymać ognie huraganowe, kto więcej zniszczył żyć ludzkich z ukrytego miejsca, tego pasowano na bohatera i w książkach i gazetach o nim pisano.

Dzisiaj czasy się zmieniają.

Dla nas bohaterem jest już nie tylko ten człowiek, który umie zginąć na polu walki, drogo sprzedawszy poprzednio swe życie, lecz przedewszystkiem ten człowiek, który czy to przez jednorazowy wysiłek, czy też przez ciągłe codzienne, szare zmaganie się z przeciwnościami, zmierza do podniesienia i przysporzenia dobra ludzkości. A największym bohaterem, to już taki człowiek, który gotów nawet swe życie poświęcić dla dobra bliźnich. I naprawdę, gdybyśmy się zastanowili, kto tu większym bohaterem, czy np. Napoleon czy też ów lekarz, który na samym sobie doświadcza działanie promieni radu, ażeby tylko umożliwić ludzkości zwalczanie straszliwej choroby, raka, — to niezaprzecznie każdy z nas powie, że stokrotnie większym bohaterem będzie ów lekarz, aniżeli Napoleon. Bo Napoleon tysiące ludzi wysyłał na śmierć w swych wojnach, a ów lekarz powolnie umierający w cierpieniach, tysiące ludzi ratuje przed straszną chorobą i śmiercią.

A takich bohaterów, o których dopiero dzisiaj coraz szerzej się mówi i im tylko nadaje się tę słuszną cześć, takich bohaterów było bardzo, bardzo dużo w dziejach ludzkości. Jedynie, że ludzie o nich zapominali, bo do ich umysłów przemawiały bardziej czyny na polach bitwy, a mniej— wysiłki, zmierzające nie do niszczenia żyć ludzkich, lecz do chronienia ich, bronienia przed śmiercią, chorobą i nędzą.

Takimi, szarymi bohaterami to dzisiejszy robotnik, narażający swe życie w kopalni czy w hucie, i nasze matki, poświęcające swe zdrowie dla dobra swego dziecka, i ten żołnierzyk szary, broniący ziemi rodzonej i ten lekarz i siostra miłosierdzia, zarażający się od chorego i ten inżynier i uczony i tych tysiące, tysiące, jednostek, którzy swojemi szaremi czynami służą wiernie dobru całego świata.

Drugim typem bohatera nowoczesnego to człowiek, który swe życie naraża, by duchowi ludzkiemu zapewnić zwycięstwo nad naturą, by móc ją ujarzmić, swej woli poddać. Weźmy np. ostatni lot naszego Orlińskiego z Warszawy do Japonji, czy też lot ponad oceanem Atlantyckim młodego 25-letniego Karola Lindbergha, lecącego przez 33 godzin ponad niezmierzonym oceanem, sam jeden, ażeby tylko zapewnić duchowi ludzkiemu zwycięstwo nad przestrzenią. Pomyślcie sobie 33 godzin przeszło, sam jeden w drobnym aparacie, nad niezmierzonym, skłębionym, ludzkim okiem nieobeszłym oceanie!... Gdzie najmniejsze zepsucie się motoru, czy najmniejsza nieuwaga przy sterowaniu, gotują mu nieuchronną śmierć w wrogich odmętach morskich, gdzie musi walczyć i z wiatrami i ze śnieżycą, oblepiającą skrzydła samolotu i ściągającą go do morza, i ze znużeniem i wyczerpaniem, a poza tem wszystkiem samotna, nieubłagana śmierć, dybiąca chytrze na jego młode życie!... Zapewnie wszyscy słyszeliście

już o tym młodym bohaterze, witanym z takim entuzjazmem w Paryżu po przebyciu około 6000 km drogi nadmorskiej. I słusznie, że go tak witano, boć to naprawdę nietylko bohater, jak jego poprzednicy, Nungesser i Coli, których z pewnością zawistne morze pochłonęło wraz z ich „Białym ptakiem",—lecz bo on także i zwycięzca, jakich mało.

Wieść o tym czynie napełnić musi dumą i radością każdego człowieka, bez względu do jakiej narodowości należy. Budzi ona w nas świadomość o potędze ludzkiego ducha, dążącego do ujarzmienia natury od zamierzchłych czasów aż po dzisiaj, od czasu, gdy człowiek poraz pierwszy ogień krzesał, by się ogrzać przed zimnem, aż do chwili w której posługujemy się samolotem, radjem, radem i innemi cudami XX wieku.

I wy, polskie dzieci, macie być z czego dumne, boć w tej walce zwycięskiej i Polacy biorą żywy a twórczy udział. Nasz naród nie stanowi biernej masy, która tylko korzysta z tamtych zwycięstw, nic od siebie nie dodając, — ale przeciwnie my sami jesteśmy członkami tej wielkiej rodziny narodów, wywalczającej zwycięstwo i sławę ducha ludzkiego. I my mamy takiego Orlińskiego, budzącego podziw w całym świecie swym brawurowym lotem do Japonji i zpowrotem do Warszawy na połamanym aparacie, mamy taką laureatkę Nobla, panią Curie-Skłodowską i Reymonta i Chopina i tych tysiące szarych, nieznanych bohaterów codziennego życia, pracujących w ukryciu a bez głośnej sławy dla dobra nietylko Ojczyzny ale całej Ludzkości.

NASZE OBRAZKI.

Na okładce widzimy znów obrazek znanego nam już malarza E. Andriollego. Każdy z was się domyśli, że obrazek ten przedstawia nam scenę z „Lilli Wenedy" Juljusza Słowackiego, podobnie jak i następne dwa kolorowe obrazki, umieszczone wewnątrz naszego pisma.

Zastanówmy się nad pierwszym obrazkiem.

Tuż pod lasem widzimy dwóch rycerzy zbrojnych. Jeden z nich trzyma tarczę, drugi miecz. Za pasem widzimy jeszcze topór, a na plecach łuk i kołczan ze strzałami. A obydwaj skuci są za wolne ręce łańcuchem! Któż to będą ci rycerze?.. Zgadniecie, że Lelum i Polelum, ci sami, których nam przedstawia następny obrazek, jak to toporem rzucają, by nim odciąć Derwida, powieszonego za włosy przez złą Gwinonę. Zwyciężyli, bo trafnym rzutem odcięli włosy swego ojca Derwida, na których wisiał zawieszony na drzewie, a teraz wracają do swoich. A któż to ta dziewuszka jasna, złotowłosa, co się tak tuli do nich i rączyny drobne do nich wyciąga złożone i tak się patrzy smętnie, że aż się serce kraje?... To Lilla Weneda. Przytulona do jednego z nich, żegna się z nimi żałośliwie, smutek ciężki chyli głowy rycerzy. Ciężkie to pożegnanie. Gwinona postanowiła wypuścić ich ojca z niewoli pod warunkiem, że jej wrócą syna, zabranego w czasie bitwy przez rycerzy Derwidowych. Jej syn tymczasem zginął, a wzamian za niego wraca do Gwinony sama Lilla Weneda, by za cenę własnej wolności a nawet i życia wybawić ojca z niewoli.

I któż to jest owa Lilla Weneda?

To córka Derwida króla Wenedów, plemiona osiadłego w okolicy Gopła. Krainę tego ludu łagodnego i szlachetnego naszli Lechici pod wodzą króla Lecha, gromią plemię tubylcze, mimo rozpacliwego oporu.

Ponuremu poematowi nadaje dziwnego uroku prześliczna postać Lilli Wenedy. Nieszczęśliwa córka królewska czaruje nas poprostu swą tkliwością, ogromem miłości, zdolnością do poświęcenia bez granic.

Jedna to z najszlachetniejszych postaci kobiecych nietylko w literaturze polskiej, ale wogóle światowej.

Myśl przewodnia tego utworu jest jasna: lud Wenedów, choć liczniejszy i dorodniejszy od Lechitów, ponosi w walce z nimi klęskę, bo nie ma wiary we własne siły, nie ma wiary w przyszłość, bo zbawienia szuka w pieśni i cudzie, a nie w sile oręża. Zwycięzcami zostali Lechici karły, ale ufni w potęgę miecza. Bolesna to prawda, a miała ona być jakby przestrogą dla Polaków i jakby wytłumaczeniem naszego upadku.

ROZRYWKI

Uśmiechnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie.
Juljusz Słowacki.

WYNIKI Z „KONKURSU NA WYTRWAŁOŚĆ".

Z zadowoleniem piszę o wynikach konkursów. Nie wszyscy wytrwali nie wszyscy jednakowo starannie i pilnie nadsyłali swoje prace, ale było wielu, naprawdę wielu, którzy raz powziętą myśl prowadzili jak mogli do końca, — tym też należy zasłużone uznanie.

W kolejnych 6 numerach było do osiągnięcia 75 punktów.

Pierwszych dziesięciu uczestników konkursu, którzy osiągnęli największą ilość punktów otrzymują nagrody. W nawiasie podana ilośc przyznanych punktów.

1) Julek Sobieraj, Cieszyn (75). 2) Franciszek Stawowy, Król-Huta (73). 3) A. Józefiak, Lubliniec (73). 4) P. Pietrzak, Wieluń (73). 5) K. Kopiński, Warszawa (72). 6) B. Baran, Poznań (72). 7) A. Pytlik, Katowice (72). 8) B. Liczbiński, Kraków (72). 9) J. Jach Zawada (72). 10) W. Zych, Bytom (72).

J. Napora, Zakopane (61). B· Nyc, Katowice (23). E. Niedobecki, Kat. (19). J. Niemirycz (13). R. Nowak, Ornontowice (13). Z. Nowak (13). E. Niestrój, Kat. (13). Olszowski (31). A. Płoneczka, Kat. (24). Pasternak, Kat. (17). Pindar (5) Pękała (15). Pieczarka M. (16). F. Pawłowski, Ostróg (53). Ludwik Pawelski (71). Polokówna (17). W. Perkowicz, Polesie (39). B. Parczyk (7). W. Piech, Katow. (21). J. Respondek, Kat. (13. F. Ryguła (3). K. Spyrka, Kat. (14). Szymański (5). Szarzyński F. Wisła (35). Siedlaczkówna (14). Skrzypczyk (9) P. Smarzoch, Orzegów (3). W. Statura (8). R. Skorupa Hajd. W. (51). Ulfig (26). W. Smalski (65). Urbańczyk (24). A. Skupnik, Mik. (36). S. Siwirski, Nowy-Sącz (35). E. Szafraniec, Jask. (8). Wieczorkówna (11). W. Wycisło, Mik. (11). Zieliński (10). W. Zolich (10). J. Zimmik, Kat. (27). J. Zając (5). Z. Zwolski, Radom (59). A. Armata, Zakop. (43). Boczkowski (5). W. Bara (15). Böhmówna (14). H. Bieg, Smiłowice (9). Chełmoński (30). Bromboszczówna, Mikołów (30). Czernelecki (40). Dzięddzielewicz (35) M. Dziubiński (19). P. Dospil, Kat. (14). R. Frank, Kat. (13). Flakus E. Łag. (28). Gogolak (5). W. Grolik. (30). F. Gołombek (40). Gasz (6). J. Gajda (10). A. Imiolczyk (16). J. Fichma, Kat. (18)· T. Jajko, Chrzanów (50). Janba z Rozdzienia (67). Jakóbowski (10). Kołodziejówna (10). J. Klauza (8). W. Kołtuniec (49). Klimczak (53). Kleszczewski (13). Kodulanka (20). Kollock (21). E. Ksol, Smił. (5). Kopieczny (1). M. Koplówna, Mik. (28). Kamiński (14). Tad. Klimczak, Częstochowa (59). Kocnr (10). Konieczny Alf. (23). Klachacz (28). F. Kieres Kat. (7). Anastazy Kleszczewski (67). Listwoń (19). J. Liersz (22). Kwiatkowska (6). N. Łada (36). Łągwa (12). Z Ligoń (32). Misiorski (8). Łacny Jan (6). Leśnik (22). Millerówna (11) Melson (10). Machalski (39). Pasternak (10). Olszowski (31).

WYNIKI Z „KONKURSU LITERACKIEGO".

W sześciu kolejnych numerach było umieszczonych 8 obrazów J. Kossaka ilustrujących powieść H. Sienkiewicza „Ogniem i Mieazem"· Bibljoteczkę przyznano Henrykowi Zabawskiemu z Wilna, Antoniemu Sikorze z Katowic, Brununowi Pyce z Piąśnik.

Niżej podajemy wszystkich tych, którzy nadesłali rozwiązania. (Liczby arabskie oznaczają ilość nadesłanych opisów do obrazu, liczby rzymskie jakość I bardzo dobre, II dobre, III dostateczne).

A. Armata, Zakopane (6, III). T. Abrahamowicz. Radziejów (1, III). Al. Boczkowski, Wilno (6, I). A. Badurzanka, Rozdzień (8, III). T. Böhmówna, Katowice (7, I). J. Bromboszczówna, Mikołów (3, I). W. Bara Hajduki (1, III). M. Basista, Rybnik (5, II). W, Chełmoński, Busko (4, II).

Dzięddzielewicz Z. Zakopane 8. II. Dziubiński, Tomaszów 2. III. Fichma J. Katowice 3. II. Frank R. Katowice 1. II. Gołombek F. Hajduki 8. III. Gogolak, Hajduki 1. III. Gasz, Hajduki 1. III. Jakubowski, Platerów 8. I. Jajko T., Chrzanów 4. II. Jasina, Hajduki 1. II. Harcerska Drużyna, Hajduki 1. II. Klimczak T., Aleksandrja 2. II. W. Kołtuniec, Ostróg 8. II. Kleszczewski, Tomaszów 8. I. Klimczak T. 6. II. Kodulonka V. Mokre 2. II. Kwiatkowska Warszawa 1. III. Kamiński, Wilno 4. III. H. Kocur 1. III. Kollock, Hajduki 3. III. Kopieczny E., Król-Huta 3. III. F. Kozień, Katowice 1. II. Klawia, Chorzów 5. III. Kołodziejówna G. 2. II. Kisieliński Franciszek 5. III. Leśnik R., Rybnik 3. III. Listwoń M. Tomaszów 2. I. Łągwa, Tomaszów 2. I. Misiórski Z., Tomaszów 2. I. Machalski R. K-Huta 7. II. a. Millerówna, Mikołów 6. II. T. Millerówna 1. II. Napora J., Zakopane 8. II. Noworyta ., Tornów 3. II. Olszowski S., Mikołów 2. II. Pasternak Kazimierz 1. II. Polokówna 5. II. M. Pieczarka 5. II. W. Smalski, Zakopane 8. I. Szubert S. 5. II. Starzycki E. 8. I. Szymański 1. III. Skupnik 6. II. Ulfig 2. III. Urbańczyk J. 3. II. Wieczorkówna G. 1. II. Woynarowski Z. 4. I. a. Wagner 4. II. W. Zatołeńki 8. III. Wagner A. 4. I. Zieliński 1. I. Zwolski Z. 8. II.

WYNIKI KONKURSU NA „ZŁOTE MYŚLI."

Prace swoje nadesłali: Józef Wierzbicki z Łowicza. Zenon Barański z Piotrkowa. Stanisław Noworyta z Tarnowa. Zygmunt Zwolski z Radomia. Aleksander Skupnik z Mikołowa. Kazimierz Kamiński z Wilna. Władysław Smalski z Zakopanego. Tadeusz Klimczak z Częstochowy. Wacław Włodarski z Królewskiej Huty. Irena Szwabiakówna z Katowic.

Bibljoteczkę za najlepsze opracowanie (obejmuje 30 stron druku maszynowego) przyznano Zenonowi Barańskiemu z Piotrkowa.

Pozostałe prace są bardzo starannie opracowane i zasługuje na uznanie, za co też Redakcja serdecznie dziękuje.

Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

TREŚĆ NUMERU 7-GO Z DNIA 20-GO CZERWCA 1927 R.

Pismem kieruje: Komitet redakcyjny pod przewodnictwem **D-ra Ignacego Chrzanowskiego** Prof. Uniw. Jagiell.
Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ulica Wandy L. 41. Wydawca: **P. Stasiak.**
Redaktor odpowiedzialny: **Mieczysław Gładysz,** Katowice, ulica Wandy 41.
Przedstawicielstwa: **Warszawa,** Krakowskie-Przedmieście 1, **Jerzy Karbowski.**
Wilno, Benedyktyńska 2 — 3. Skład Główny na Wilno i Wileńszczyznę księgarnia C. Zarządu P. M. Sz. Z. W.
Zakopane, Nowotarska 104.
Warunki prenumeraty „Orląt" z przesyłką pocztową: — kwartalnie 1.50 zł., — półrocznie 2.80 zł., — rocznie 5 zł.
Numer pojedyńczy 1 zł. Zagranicą rocznie 2 dolary. Konto w P. K. O. 303.600.
Prenumerata „Orląt" i „Orlątek" razem: kwartalnie 2 zł. — półrocznie 3.70 zł. — rocznie 7 zł.
Ogłoszenia: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 łamu 40 gr. Kolumna posiada 2 łamy.
Do nabycia we wszystkich Księgarniach i Kioskach.

Drukarnia i Introligatornia L. Martynkowski i L. Nowak w Sosnowcu.